

**Rodzinny wielokąt. Lutomiersk – Łódź
– Warszawa – Berlin – Lwówek Śląski
BARBARA PAWŁOWICZ**

Motto:

*Kiedy zatrzymamy się
w wiecznej przystani
zostaną wspomnienia
niezatarty ślad
naszego żeglowania
przez życie*

autorka

Wstęp

Niedawno, po wieloletniej przerwie, spotkałam się z kuzynkami – dziećmi rodzeństwa mojej babci - Bronią, Grażyną i Jadzią. Bronia to najmłodsza córka pierwszej siostry babci, a Grażyna i Jadzia to córki brata, który był najmłodszym z czworga rodzeństwa. Grażyna i Bronia mieszkają w Łodzi, a Jadzia w Warszawie.

Bronia zawiozła mnie do Lutomierska, miejsca z którego wywodzi się nasza rodzina, gdzie większość z niej rozpoczynała i spędzała całe lub część swojego życia. Kiedy stanęłam nad grobami pradziadków i innych krewnych na miejscowym cmentarzu, podeszłam pod stojące do tej pory ich domy, postanowiłam uporządkować i pogłębić wiedzę o przodkach. Opisać wszystko co wiem o nich, bo w żyłach moich i moich dzieci płynie częśćka ich krwi.

To co wiedziałam do tej pory dotyczyło przeszłości głównie babci i moich rodziców, a i nie do końca. Kiedy babcia i rodzice żyli tematyka ta nie za bardzo mnie interesowała, byłam zajęta swoimi sprawami, pracą i wychowaniem dzieci. Dopiero kiedy odeszli, stwierdziłam jak ograniczona jest moja wiedza o przeszłości przodków, a to co wiem nie pozwala na zbudowanie pełnego ich obrazu, mam więcej pytań niż odpowiedzi.

Zaczęłyśmy, wspólnie z kuzynkami, poszukiwanie najgłębszych korzeni rodu Koralewiczów, którego ostatnim męskim przedstawicielem był

Kazimierz, ojciec Grażyny i Jadzi, urodzony w 1905 r. Mnie, jako najmłodszej, przypadło spisanie wspomnień, co z radością niniejszym czynię.

1. Lutomiersk

Lutomiersk to małe miasteczko pod Łodzią, w obecnym powiecie pabianickim. Powstało nad Nerem, a prawa miejskie od Księcia Leszka Białego otrzymało już w 1274 r. Jest więc o dwa i pół wieku starsze niż wielka dziś Łódź. Od 1870r, po utracie praw miejskich, miejscowość jest wsią, siedzibą Gminy, choć zabudowa ma nadal charakter typowo małomiasteczkowy. Jest też chyba jedyną wsią w Kraju, która ma połączenie tramwajowe, aż z dwoma sąsiednimi, znacznie większymi, miastami – Aleksandrowem Łódzkim i Łodzią.

Monografię tego miasteczka, przed kilku laty, napisała Bronia. W pracy tej przedstawiła wyniki analizy dostępnych dokumentów opisujących życie w Lutomiersku od XIX wieku do czasów współczesnych. Niemały wkład w poszukiwaniu korzeni rodowych ma też Grażyna. To ona w Archiwum Państwowym w Łodzi odnalazła akty ślubów swojego dziadka oraz jego ojca i dziadka.

Mimo, że nie udało się odszukać metryk urodzenia, to jednak dane zawarte w aktach ślubu pozwalają na ustalenie wielu interesujących informacji o naszych protoplastach i o czasach kiedy żyli.

Najstarszy z Koralewiczów do którego doszliśmy, Wincenty, urodził się w 1788 r. Ślub z, o rok młodszą, Zofią Klinowską otrzymał 6 stycznia 1819 r. z rąk zastępcy urzędnika stanu cywilnego lutomierskiej gminy. Jego syn Mikołaj urodzony w 1821r, wstąpił w związek małżeński z również o rok młodszą Franciszką Łuszczyńską w Lutomiersku, w kościele parafialnym. Działo się to w dniu 17 listopada 1841r. Dziadek Broni, Grażyny i Jadzi, a mój pradziadek, Antoni Koralewicz urodził się natomiast w 1856 r, także w Lutomiersku. Ożenił się, dopiero mając 31 lat, z o dziesięć lat młodszą Anną Stefankiewicz. Ślub zawarli 6 lutego 1887 r, w Łodzi gdzie już wówczas oboje z rodzicami mieszkali. Co ciekawe, ich akt ślubu - dokument najmłodszy wiekiem, jako jedyny, napisany został po rosyjsku. I jako jedyny nie dał się do końca odczytać, a przez to i przetłumaczyć.

W aktach ślubów zapisane zostały jeszcze inne bardzo istotne informacje – wszyscy Koralewicze, poczynając od Wincentego, byli majstrami szewskimi. Tej profesji byli również wszyscy świadkowie ślubni, jak również wielu innych mieszkańców miasteczka, co podaje Bronia w swojej monografii. Nie ma wątpliwości, że Lutomiersk obuwał wielką Łódź.

Wincenty i jego syn Mikołaj byli niepiśmienni, akty ślubu sporządzone pismem odręcznym, były im odczytywane - pierwszemu przez zastępcę urzędnika stanu cywilnego gminy, a drugiemu przez proboszcza lutomierskiej parafii, i podpisane tylko przez sporządzających.

Z aktów ślubu można jeszcze wyczytać, że Mikołaj z Franciszką przed ślubem zawarli notarialną umowę przedślubną, a Lutomiersk w tych czasach należał do powiatu Szadkowskiego, Województwa Kaliskiego. Z zestawienia zaś dat ślubów i urodzenia synów można wnioskować, że Mikołaj był najstarszym synem Wincentego, zaś Antoni mógł być najmłodszym dzieckiem Mikołaja, urodził się bowiem 15 lat po ślubie rodziców. Nie wiadomo czy mieli rodzeństwo i jak liczne.

Jest jeszcze jedna, warta podkreślenia, wartość zawarta w tych dokumentach, a mianowicie język polski – jego styl i pisownia, całkowicie odmienne od dzisiaj obowiązujących. Z tego powodu, nie bez trudności można je było odczytać.

2. Łódź

W dniu ślubu Antoni mieszkał w Łodzi. Kiedy jego rodzice - Mikołaj i Franciszka - wyjechali z Lutomierska nie wiadomo. Pewnym jest, że jego ojciec, a następnie on sam prowadzili w Łodzi duży warsztat szewski, zatrudniający kilkunastu czeladników. Sami zapewne nie pracowali przy zydłu, ale zarządzali podwładnymi i obsługiwali klientów. To, że warsztat był duży świadczy, że wykonywał dobre obuwie i przez to miał licznych klientów. Mikołaj, a następnie Antoni na pewno byli osobami majątymi. Antoni ożenił się dopiero w wieku 31 lat. Wskazuje to, że w okresie ostatniego dziesięciolecia swego życia mógł pobierać nauki, choć nie wiemy gdzie, jak długo i czy jest to pewne. Na pewno umiał pisać, czytać i znał języki obce. Sądzę że była to znajomość rosyjskiego, z uwagi na zabór, niemieckiego, z uwagi na bliskie sąsiedztwo z zaborem pruskim oraz łacinę.

W Łodzi Antoni nie tylko prowadził warsztat szewski, przejęty od ojca, ale angażował się w działalność, niejako, publiczną, wygłaszając mowy na targowiskach. Ze strzępków rodzinnych wspomnień wynika, że była to działalność na płaszczyźnie głównie religijnej. Posługiwał się bowiem bardzo starą biblią napisaną po łacinie. Nie wykluczone, że podczas swoich wystąpień poruszał również tematy natury politycznej. Był to czas zaborów, industrializacji Łodzi, wyzysku chłopów i robotników. Nie wiemy czy z powodu tej działalności publicznej, zawiści, lub zwykłego rabunku, doszło do podstępnego ograbienia go ze znacznej części majątku. Podstęp miał polegać na odurzeniu jego i rodziny jakimś środkiem dla uśpienia czujności umożliwiającej rabunek.

3. Ponownie Lutomiersk

Po tym tragicznym wydarzeniu Antoni z rodziną pozostawił Łódź i w 1895r powrócił do rodzinnego Lutomierska. Tam, za resztę majątku, kupił dom położony przy rynku, gdzie oprócz mieszkania na piętrze, na parterze uruchomił nowy warsztat szewski zatrudniający kilku czeladników. Ten dom wyróżniał się w miasteczku. Babcia wielokrotnie wspominała, iż każdego roku w Wielką Sobotę do tego domu przychodził ksiądz święcić pokarmy, ich i okolicznych mieszkańców, choć do kościoła było niedaleko. Bez wątpienia był to wyraz dużego autorytetu, jakim w środowisku cieszyła się prababcia Anna. Piszę prababcia, bo pradziadek, po powrocie do Lutomierska, coraz mniej zajmował się warsztatem, cały czas spędzając na targowiskach i pogadankach dla chłopów i mieszczan. Niewiele bywał w domu, cały ciężar jego prowadzenia na poziomie, cieszącym się prestiżem, spoczywał na prababci. Po jego śmierci Biblia z której nauczał została włożona do mu trumny.

A jaką osobą była prababcia Anna?

Z relacji babci była to osoba dystygowana, ciemnej karnacji, o kruczoczarnych do końca życia włosach, zawsze ubierająca się na czarno, ale gustownie. Te cechy wyraźnie widać z jej zdjęcia z malutką wnuczką Łodzią. Dla dzieci była raczej oschła. Babcia nie pamiętała, aby wzięła ją lub siostry na kolana, przytuliła, okazała czułość. Mogło to mieć związek z tym, że pierwszymi dziećmi były pod rząd trzy dziewczynki, które wówczas

traktowano gorzej niż chłopców. Z tego niewątpliwie powodu, po urodzeniu trzeciej córki, prababcia udała się na pieszą pielgrzymkę do Częstochowy, modlić się o syna. Kiedy w 1905 r urodził się Kaziu stał się oczkiem w jej głowie.

Babcia Marianna (dla bliskich Mania, choć tego zdrobnienia imienia bardzo nie lubiła), urodzona w Łodzi w dniu 22 lipca 1890r, była najstarszą z rodzeństwa. To, że jako pierworodne dziecko była dziewczynką niósł dla niej przez całą młodość szereg przykrych dolegliwości (delikatnie mówiąc), wynikających z panujących wówczas zwyczajów i przesądów.

Jako najstarsza, to właśnie ona, musiała pierwsza wyjść za mąż. Kiedy więc młodsza od niej siostra Natalka zbliżała się do wieku zamążpójścia (20 lat), babcia pierwsza została wydana za mąż, mimo, że nie kochała przyszłego męża (może nie do końca była to prawda). Jak mówiła „wypchali mnie z domu siłą”. Nie pozwalając poczekać na powrót z carskiego wojska narzeczonego. Kiedy w wieku 23 lat wychodziła za mąż za Wincentego Poszepczyńskiego uważana już była za starą pannę i rodzice nie bardzo liczyli się z jej głosem doprowadzając do tego ślubu.

Z rodzeństwa babci jedynie jej młodsza siostra Natalka całe życie spędziła w rodzinnym Lutomiersku. Pozostali – Fela zaraz po ślubie, a Kaziu po wojnie – zamieszkali w Łodzi. Tam też żyje lub żyła większość następnych pokoleń Koralewiczów – potomków Natalki, Feli i Kazia, choć już żadne z nich, za wyjątkiem Jadzi, nie nosi nazwiska Koralewicz. Łódź była również pierwszym etapem wędrówki babci w poszukiwaniu pracy i dachu nad głową. Również ja po maturze, z namowy wujka Kazia, na studia udałam się nie gdzie indziej, ale właśnie do Łodzi.

Narzeczonym babci, o którym ona sama nie chciała za wiele mówić, był chłopak w jej wieku, ale jak to bywało, młodych 18-letnich chłopców brano „w kamasze”. I tak było z nim, został wzięty do carskiego wojska. A wówczas do wojska szło się na 25 lat i to do służby w głąb Rosji. Niewielu po takim okresie w ogóle wracało do domu, a jak już wracali, to za bardzo nie nadawali się już do żeniaczki. Na pewno łączyło ich gorące uczucie, bowiem przyrzekli sobie, że on za wszelką cenę postara się z tego wojska jak najszybciej uciec, a babcia będzie na niego czekała. I przez kilka lat była temu wierna. Jednak czas biegł, młodsza siostra była na wydaniu, a ją traktowano

już jako starą pannę. Na dodatek z wojska, od kolegi ukochanego, do Lutomierska dotarła wiadomość, że ten zaginął w nieznanych okolicznościach.

Jak się ta wiadomość rozeszła po miasteczku, babcia nie miała już argumentów, aby dłużej opierać się rodzinie i licznym adoratorom. Wszyscy, z bólem serca, przyjęli informację, że wybranek jej serca nie żyje. Oko na babcię miał miejscowy piekarz, posiadający piętrowy dom ze sklepem w rynku, jeszcze dzisiaj górujący nad okoliczną zabudową, a w ogrodzie piekarnię zatrudniającą 12 czeladników. Była to więc, nie tylko w ocenie innych, wyjątkowo korzystna partia. Babcia często wspominała, że wychodząc z swojego domu celowo odwracała głowę w drugą stronę, aby wzrokiem nie spotkać się Wincentym, który stale wypatrywał jej ze schodków, niedaleko położonego, swojego sklepu. Bez wątpienia był w niej zakochany. Zdaje się, że zachowanie babci nie do końca było wyrazem niechęci, bardziej była to gra z jej strony, wzmagająca jego pożądanie.

Powodów i okoliczności zaginięcia ukochanego babci nikt nie znał. A była to, zaplanowana od początku, ucieczka. Kiedy po kilku latach, ukrywając się po lasach, idąc w większości pieszo, wreszcie dotarł do domu, babcia była już zamężna i z dziećmi. Uniósłszy się urażoną dumą, wyjechał z Lutomierska i też się ożenił. O babci jednak nie zapomniał.

Historia tej miłości się jednak na tym nie skończyła. Miała swój dalszy ciąg i to po wielu latach. Gdzieś, w połowie lat sześćdziesiątych, do mieszkającej z nami we Lwówku Śląskim babci, ten pan najpierw napisał list, a po jakimś czasie, pewnego letniego dnia, przyjechał prosić babcię aby się pobrali. On owdowiał i chciał powrócić do młodości. Wiedział, że babcia od dawna też jest wdową. Liczył, że przyjmie jego oświadczenia i ostatnie lata życia spędzą razem. O tym gdzie babcia mieszka dowiedział się od jej rodziny w Lutomiersku. Jako wkupne przywiózł ze sobą indyka i jakieś czekoladki. Babcia nie chciała go jednak słuchać, oświadczenia nie przyjęła ... i na tym się ta historia miłosna się skończyła. Ale czy naprawdę?

Babcia, zawstydzona względem rodziny tą sytuacją, w głębi duszy była dumna z tego, że po tylu latach pamiętał i przyjechał do niej. Dawało się to wyraźnie zauważyć i wyczuć z jej zachowania, po jego wyjeździe. Na pewno oboje zachowali siebie z młodości lat w swoich sercach do końca życia. Była to wielka niespełniona miłość.

To, że babcia była dziewczynką, a nie chłopcem, przesądziło też o tym, że edukację zakończyła na szkole powszechnej, mimo bardzo dobrych wyników w nauce. Nawet proboszcz nic nie wskórał, kilkakrotnie namawiając mamę, aby posłała ją do dalszych szkół, deklarując przy tym pokrycie części kosztów tej nauki. Prababcia Anna była nieugięta, uważała, że dziewczynie wystarczy szkoła powszechna i wiedza o prowadzeniu gospodarstwa domowego. A w tym babcia też była bardzo dobra. Umiała gotować, szyc i wykonywać wszelkie inne prace domowe, po co więc jej było dalsze kosztowne kształcenie.

Wydaje się, że to wtedy, kiedy ważyły się losy jej dalszej nauki, prababcia pielgrzymowała do Częstochowy. Kiedy bowiem urodził się brat Kaziu ona miała już 15 lat i musiała być po szkole powszechnej. Z nim to matka związała swoje nadzieje, że zostanie księdzem lub nauczycielem. Ostatecznie wybrał seminarium nauczycielskie w Łowiczu, które ukończył w 1927 r. Na pokrycie kosztów jego nauki matka sprzedała dom w rynku i kupiła, znacznie mniejszy i mniej okazały, w bocznej ulicy. Zamieszkała w nim z rodziną młodszej córki Nataliki i Kaziem. Babcia i jej najmłodsza siostra Fela były już zamężne i mieszkaly poza rodzinnym domem. Miało to miejsce kilka lat po śmierci pradiadka Antoniego.

I tak, w 1913 r, babcia zostaje wydana za Wincentego Poszepczyńskiego. Był on od niej o 5 lat starszy, miał 28 lat. Kiedy młoda para wychodziła z lutomierskiego kościoła została obsypana dużą ilością złotych monet 10-kopiejkowych. Niewiele jednak pozbierali, tak niewielką wartość wtedy miały. Mogło to wynikać z tego, że Lutomiersk będący w zaborze rosyjskim, przed I Wojną Światową dostał się pod okupację niemiecką, gdzie obowiązywała marka. Dlatego złote ruble i kopiejki, będące w posiadaniu ludności, nie miały już większej wartości.

Tylko pięć lat babcia cieszyła się rodzinnym i małżeńskim szczęściem, albowiem dziadek Wincenty Poszepczyński zmarł w 1918r, mając zaledwie 33 lata. Jego śmierć nie tylko odebrała młodej żonie męża, a dzieciom ojca - ciocia Łodzia miała wtedy 4 lata, moja mama Mieczysława 2 , a babcia 28 lat. Zagrożona została również stabilność materialnego bytu rodziny. Poprowadzenie tak dużej piekarni i sklepu przez babcię, z dwójką malutkich dzieci, przekraczało jej możliwości. Pomagała w tym rodzina zmarłego męża, która praktycznie przejęła bieżące zarządzanie interesem. Po kilku

miesiącach takiej sytuacji babcia uległa wreszcie namowom i sprzedała im dom z piekarnią. Za uzyskane pieniądze miała sobie kupić w Łodzi małe mieszkanie ze sklepem. Do transakcji doszło pewnego dnia wieczorem, a rano wszyscy dowiedzieli się o wymianie pieniędzy. Zdarzenie to, analizując fakty historyczne z tego okresu, mogło mieć miejsce 9 lutego 1919 r, kiedy władze zarządziły wymianę dotychczasowych walut zaborców na marki polskie, obowiązujące na całym terytorium odrodzonego przed niespełna trzema miesiącami Państwa.

Za otrzymane marki niemieckie (Lutomiersk do końca I Wojny Światowej był pod okupacją niemiecką), po wymianie na marki polskie, mogła kupić, jak często wspominała, jedynie beczkę śledzi, a nie mieszkanie ze sklepem w Łodzi. W taki oto sposób została oszukana przez rodzinę zmarłego męża, która bardziej zorientowana w sytuacji gospodarczej i politycznej młodego Państwa, musiała dowiedzieć się o przygotowywanej wymianie pieniędzy. Młoda kobieta z dwójką malutkich dzieci nie była w stanie przeciwstawić się tak jawnemu oszustwu bogatej rodziny i musiała dotrzymać warunków umowy. Podkreślić pragnę, że babcia była niesamowicie honorową i dumną osobą. Nie było mowy aby danego słowa miała nie dotrzymać. Na pomoc swojej rodziny nie mogła liczyć. W 1917 r zmarł jej ojciec, a z matką, która za bardzo nie była jej przychylna, mieszkały jeszcze dwie córki i syn.

O szczegółach tej przykrej sprawy babcia za wiele nie chciała ze mną, małą dziewczynką, rozmawiać. Na pewno zbyt bolesne byłyby to przeżycia i dla niej i dla mnie. A później nie było już czasu na takie rozmowy, bo babcia odeszła od nas w 1974 r, 56 lat później od swojego męża.

Początki samodzielnego życia babci przypadły na niespokojne lata I i II Wojny Światowej, czas odzyskania przez Polskę Niepodległości, po 123 latach niewoli, i powojenne lata kształtowania się odrodzonego Kraju.

Nie znam dokładnej daty śmierci dziadka. Jego śmierć była następstwem zapalenia płuc, na które zachorował po rozdarciu na przesiekach kożucha podczas zimowego polowania. Mimo, że był długo leczony przez najlepszych lekarzy, na co go było stać, z braku skutecznych leków (penicyliny jeszcze wówczas nie znano) nie uratowano jego życia. Informacje te wskazują, na wysoce prawdopodobne, iż to pechowe

polowanie miało miejsce podczas zimy 1917/1918r, a dziadek zmarł pod koniec lata lub jesienią 1918 r.

Umiejętności wyniesione z rodzinnego domu, ze szkoły oraz pięcioletniego okresu małżeństwa, pozwoliły babci, po śmierci męża i utracie dochodowej piekarni, na znalezienie od razu zajęcia zapewniającego chociaż minimalne środki do życia dla siebie i córek. Były to, używając współczesnego języka, usługi krawieckie na dworze lutomierskiej dziedziczki. Umiejętności babci tak przypadły jej do gustu, że zastrzegła sobie, aby stroje szyte dla niej nie były, wg tych samych wzorów szyte dla innych. Poza pracą dla dziedziczki i jej domowników babcia szyła również dla mieszkańców miasteczka. W większości były to tzw. stroiki, ubranka trumienne dla zmarłych dzieci. Była wówczas bardzo wysoka śmiertelność dzieci tuż po urodzeniu i w pierwszych latach życia. Za tą pracę często nie otrzymywała żadnej zapłaty, bo panowała wielka bieda. Często otrzymywała dwa jajka lub cztery kartofle. Córki w tym czasie chodziły do ochronki (ówczesnego przedszkola), prowadzonej przez siostry salezjanki. Nie było tam wyżywienia, dzieci musiały zabierać je ze sobą, ale w ich domu też panowała bieda. Z pomocą przyszła wtedy jedna z siostr dziadka, osoba bezdietna i majątna. Codziennie przygotowywała bratanicom dwa koszyczki z jedzeniem, które one idąc do ochronki odbierały z pod jej domu. W drodze powrotnej zostawiały przed domem cioci puste koszyczki, do napełnienia w następnym dniu. Niestety nikt nie pamięta gdzie wówczas mieszkała babcia z córkami, a gdzie siostra jej męża.

4. Znowu Łódź i Warszawa

Kiedy Kaziu ukończył seminarium i otrzymał posadę nauczyciela w Zelowie k/Łodzi, przyjął siostrzenice do swojego nauczycielskiego domu, a babcia wyjechała do pracy w Łodzi, gdzie przez 9 lat babcia mieszkała. Z czego się utrzymywała nikt nie pamięta. Ciocia z Mamą miały wtedy 13 i 11 lat i ukończoną czteroklasową szkołę powszechną. U wuja były ok. 6 lat, bowiem pod koniec 1933 r dołączyły do matki, przebywającej już od kilku lat w Warszawie. Będąc w Zelowie uczęszczały do szkoły gospodarstwa wiejskiego przysposabiającej do prowadzenia domu i gospodarstwa rolnego. Tam uczyły się pracy w kuchni i ogrodzie, a nawet dojenia krów. Babcia

pracując w Łodzi i w Warszawie posyłała bratu pieniądze na utrzymanie i naukę córek. Nie mam wątpliwości, że w tych okolicznościach między babcią a jej bratem została zadzierżgnięta braterska miłość. Teraz on pomógł jej i jej córkom, a później one wielokrotnie pomagały jemu.

W Warszawie, najpierw sama, a później już z córkami, prowadziła kiosk z luksusowym tytoniem i papierosami oraz kiosk z artykułami spożywczymi. Oba przy ul. Marszałkowskiej – na rogu z ul. Kredytową, i na rogu z ul. Piusa, a także trzeci kiosk spożywczy na Hali Targowej. Tak bardzo chciały zarobić na kupno własnego mieszkania i sklepu, że żyły bardzo skromnie, odmawiając sobie wszelkich przyjemności. Były już bliskie tego celu. Mając potrzebne pieniądze miały już nawet upatrzony odpowiedni sklep z artykułami chemicznymi i wyrobami sanitarnymi, tzw. mydlarnię. Ciocia miała narzeczonego aptekarza, planowali się pobrać i prowadzić skład apteczny. Aby ograniczyć wydatki na czynsz chciały nawet zamienić dotychczas wynajmowane mieszkanie (nr 44), przy ul. Sosnowej 6, na mniejsze. W dniu 1 września 1939 r. mama zawieszała firanki w tym nowym mieszkaniu. Wybuch wojny nie pozwolił jednak na realizację tych planów. Życie w mieście zostało podporządkowane obronie przed nacierającymi Niemcami. Częste naloty bombowców wroga podczas oblężenia zmuszały ludność do chronienia się w piwnicach, bo innych schronów nie było pod dostatkiem. Podczas jednego z takich nalotów, kiedy wszyscy mieszkańcy domu schronili się w piwnicy, w ich budynek uderzyła bomba, która uszkodziła klatkę schodową oraz przebiła strop nad piwnicą zabijając kilka osób i ciężko raniąc wiele innych, wśród nich babcię i mamę. Cioci nie było wówczas w piwnicy. Kilka minut wcześniej, nie bacząc na zagrożenie poszła do mieszkania ugotować kaszy. Wszyscy byli bowiem bardzo głodni. Kiedy wracała wybuch zastał ją na klatce schodowej, do piwnicy już nie doszła, wybuch bomby wyrzucił ją na podwórko. Po nalocie zabrano ją do szpitala żydowskiego. Lewą rękę miała połamaną, poszarpaną i z pozrywanymi ścięgnami. Mimo operacji nie była już w pełni sprawna do końca jej życia w 2003r.

Zasypaną w piwnicy babcię i mamę odkopano dopiero po pięciu dniach. Ciężko ranne w głowy, już z gangreną, która wdała się w rany, nieprzytomne, dopiero wówczas zabrano do szpitala im. Dzieciątka Jezus. Natychmiast zrobiono im trepanację czaszki. Mama, jako młoda dziewczyna

szybko dała oznaki życia odzyskując powoli przytomność. Babcia, mimo operacji, nadal był nieprzytomna i nie dawała żadnych oznak życia, nie wyczuwano nawet słabego tętna. Uznano ją za zmarłą i ułożono na stercie trupów na korytarzu. Lekarze nie mieli czasu na dalsze obserwacje, bo czekali inni ciężko ranni. Przypadek jednak sprawił, że kilka godzin po operacji korytarzem przechodziła sanitariuszka, koleżanka babci, która ją rozpoznała. Chwyciła za rękę, wyczuła jeszcze ciepłe ciało i nikłe tętno, mimo, że babcia nadal była bez przytomności. Natychmiast zabrała babcię ze sterty trupów i położyła na posadzce w kącie korytarza, sale bowiem były zajęte innymi rannymi. Po pewnym czasie wszystkie odzyskały zdrowie na tyle, że odnalazły się oraz powróciły do domu i pracy w kioskach. Pracowały w nich niespełna półtora miesiąca, do końca listopada 1939r, kiedy Niemcy wyburzyli wszystkie kioski przy ul. Marszałkowskiej.

Schodząc do schronu w piwnicy zawsze zabierały ze sobą walizkę z pieniędzmi gromadzonymi na kupno samodzielnego mieszkania i sklepu. Po powrocie ze szpitala już jej nie odzyskali. Ktoś ją ukradł. O mieszkaniu i sklepie nie miały co marzyć. Podstawowym problemem stało się wtedy jak przeżyć kolejny dzień, zdobyć wodę i coś do jedzenia. Nie miały w domu większych zapasów żywności, bo przynosiły je sobie codziennie świeże ze sklepów, poza woreczkiem sklepowej gałki muskatołowej schowanej na strychu, wiele wartiej, ale trudno było na nią znaleźć wtedy amatora.

Część pieniędzy zawsze Mama miała też przy sobie w woreczku na szyi. Schodząc do piwnicy miała ponad tysiąc złotych i trochę monet w kieszeniach ubrania. W szpitalu po odzyskaniu przytomności okazało się, że w woreczku na szyi pozostał tylko jeden banknot 1000 złotowy, którego Mama nigdy wcześniej nie miała, a nawet nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Za ten banknot, najwyższego nominatu, nie mogły nic kupić. Żaden sklep nie dysponował taką ilością gotówki, aby wydać resztę. Była to bardzo wysoka suma pieniędzy, bułka kosztowała 5 gr, wykwentne ciastko u Pomianowskich 10 - 20gr. Kiedy zdesperowane trafiły do siedziby PKO usłyszały, iż od kilku dni bank też nie może przyjmować na wymianę tego banknotu. Dopiero osobista rozmowa z dyrektorem banku spowodowała, że zezwolił im na wymianę. Te pieniądze zapewniły im środki na życie i uruchomienie od 1 października kiosków. Prowadziły je jedynie do końca listopada, kiedy Niemcy wszystkie zburzyli. Mogły się jedynie domyślać, że

podmiany pieniędzy, na ten jeden niechodliwy już wówczas banknot, dokonała lekarka, która leczyła mamę w szpitalu. Mimo wszystko okazała się na tyle uczciwa, że „chodliwe” banknoty zamieniła na „niechodliwy”, a nie zabrała wszystkiego.

Warszawa, bez pomocy z zewnątrz, bohatersko broniła się do 28 września 1939r, kiedy po kapitulacji miasto zajęli Niemcy.

Dopiero w marcu 1940r znalazły wolny kiosk na Placu Kazimierza, który, jako drugi prowadziły do wybuchu Powstania Warszawskiego.

Zajęta przez Niemców Stolica żyła w warunkach terroru wojennego. Towary były reglamentowane. Ludziom nie wystarczało pieniędzy na codzienne życie. Rozpoczęła się walka podziemna z najeźdźcą, a z jego strony łapanie, rozstrzeliwanie, aresztowanie i wywózka do prac przymusowych w głąbi Niemiec. Szczególny terror objął ludność żydowską, którą zgromadzono w Getcie.

W jednej z pierwszych łapanek w październiku 39 r został złapany narzeczony cici. Od tego czasu słuch o nim zaginął. Wszelkie poszukiwania, w czasie wojny i po niej, nie dały rezultatu. Nie znaleziono jego nazwiska ani na plakatach informujących o rozstrzelanych, ani wśród osób wywiezionych na roboty przymusowe, których wykazy posiadał genewski Czerwony Krzyż. Na pewno został zamordowany.

Warunki życia pogorszyły się znacznie po klęsce pod Stalingradem i upadku Powstania w Getcie Warszawskim. Oczekiwano klęski Hitlera, walcząc z Niemcami na wszystkie możliwe sposoby. Wyczuwało się przygotowania do walki na szerszą skalę. Każdy chciał się jakoś zabezpieczyć na wypadek najgorszego. Namówiona przez dozorcę babcia, podobnie jak inni mieszkańcy domu, w komórce na podwórku, zakopała trochę cennych rzeczy (m.in. kosztowności i nowe futro z fok mamy) oraz zapas żywności. Kiedy nazajutrz odwiedziła komórkę okazało się, że wszystkie schowki zostały ograbione, a dozorca znikł.

5. Berlin

1 sierpnia 1944r wybuchło Powstanie Warszawskie, wówczas życie w mieście praktycznie zamarło. Kto tylko mógł kopał okopy, budował barykady, babcia, ciocia i mama też. Wszędzie trwały zacięte walki, nie było

żywności, prądu i wody. Nie mając zapasów żywności przez całe Powstanie żywiły się rodzynekami, których worek miały w domu na zaopatrzenie sklepu. Po upadku Powstania Niemcy natychmiast ocalałą ludność spędzali w grupy i skierowali pieszo lub koleją do obozu przejściowego w Pruszkowie. Mogły zabrać ze sobą jedynie najpotrzebniejsze i najważniejsze rzeczy, zmieszczone w poręcznych walizkach. Stamtąd babcia z córkami została wywieziona na roboty przymusowe do Berlina, gdzie dotarły już 7 października. Zostały skierowane do pracy w fabryce gumy Müllera, Pracowały tam, do zakończenia wojny, przy produkcji uszczelki do silników samolotowych. Warunki pracy, jak na warunki wojenne, były znośne. Były dobrze traktowane przez właściciela, który razem z robotnikami jadał na wspólnej stołówce, a także czasami dawał dodatkowe kartki na mięso. Jadały głównie zupę z brukwi oraz czarny chleb z buraczną marmoladą. Mimo posiadania kartek nie zawsze można było za nie coś kupić. Już od połowy kwietnia praca w fabryce praktycznie zamarła. Całą załogę wyprowadzano codziennie do kopania okopów.

Po upadku Berlina na jego ulicach zapanował totalny chaos. Ludność niemiecka, która jeszcze wcześniej nie opuściła miasta, robiła to teraz z obawy przed Sowietami. Po ulicach mieszały się tłumy ludzi z tobołkami w rękach, na rowerach lub wózkach wszelkiego typu, nie wyłączając dziecięcych. W pierwszych godzinach po kapitulacji wojska sowieckie rozpoczęły rozbijanie niemieckich sklepów i rozszabrowywanie ich zawartości. Do tego procederu włączyli się także robotnicy przymusowi, głównie mężczyźni, którzy ryzykując życiem lub zdrowiem szli w miasto. Kobiety nie były tak odważne, bo były to wypadki bardzo niebezpieczne, podczas których wiele osób ginęło lub odnosiło rany. Każdy jednak z takiego wypadku powracał z jakimiś, mniej lub więcej wartościowymi „łupami”. Drugiego lub trzeciego dnia po kapitulacji mama, z koleżanką Rosjanką, mimo strachu, też wybrały się „do miasta” w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Przechodząc obok jednego z wielu rozbitych i rozszabrowanych sklepów, przełamały strach i weszły tam z nadzieją, że może znajdą jeszcze coś dla siebie. Był to sklep z tekstyliami. Wśród porzucanych i poniszczonych resztek towarów Mama znalazła dwie belki płótna. Rosjanka natomiast chwyciła duże pudło. Szybko opuściły sklep i nie przyglądały się dokładnie zdobytym łupom. Przytaszczyły zdobycz do domu. Tam okazało się, że belki

z płótnem są nieuszkodzone, jedna z nich to płótno białe, a druga czerwone. W pudle zaś były same damskie kapelusze, wówczas całkowicie nikomu nieprzydatne.

Podobnie jak inni robotnicy przymusowi, udręczone pracą i tułaczką, pragnęły jak najszybciej wrócić do swojego domu, do Kraju. Pociągi z dworca berlińskiego odchodziły do Warszawy rzadko i były straszliwie przepełnione. Cześć wagonów była do wyłącznej dyspozycji wojsk sowieckich i polskich. Trzy słabe, wychudzone kobiety nie miały żadnych szans aby się dopchać do pociągu.

6. Znowu Warszawa

Po paru dniach odkryły, że płótno mamy jest nie lada zdobyczą. Można bowiem z niego szyc polskie flagi, tak bardzo potrzebne wtedy do manifestowania udziału Polaków w zwycięstwie nad faszyzmem. Po kilku nieudanych próbach dostania się do pociągu, właśnie tym płótnem mama podpłaciła polskiego kolejarza prosząc go o pomoc w znalezieniu miejsca w pociągu do Warszawy. Kolejarz zwierzył w tym interes i za część płótna umieścił babcię z mamą i ciocią w wagonie na boczniczy, w nocy przed wyjazdem. Kiedy rano pociąg wjechał na peron one już siedziały w przedziale zarezerwowanym dla powracających Polaków. I tak, dzięki „zdobycznemu” płótnu, 4 lipca 1945r, wyjechały z Berlina i po kilku dniach powróciły szczęśliwie do Warszawy. Ich domu przy ul. Sosnowej już nie było. Został wyburzony po Powstaniu, jak wiele innych. Natomiast ocalłe domy, w większości tylko ich piwnice, albo partery, były już wówczas wszystkie zajęte. Zatrzymały się u jednej ze znajomych. Sprzedając sukcesywnie posiadane płótno na flagi, mały środki do życia przez kilka dni w Warszawie. Nie znalazłszy jednak żadnego samodzielnego lokum zdecydowały się 28 sierpnia 1945r wyjechać na Ziemie Odzyskane. Podobnie jak wiele innych rodzin, które znalazły się w podobnej sytuacji.

W Warszawie, w miejscu gdzie stał ich dom i na terenach sąsiednich, w 1955r Związek Radziecki, w prezencie dla Polski, wybudował Pałac Kultury i Nauki. Spacerując po alejkach wokół niego odczytuję na chodniku nazwę dawnej ulicy Sosnowej i wspominam młodość mojej mamy.

Dzisiaj w Warszawie z naszej rodziny mieszka tylko Jadzia. Godnie reprezentuje rodzinę. Jest profesorem socjologii. To ona założyła, i przez pierwsze 7 lat była rektorem, Collegium Civitas, mającego siedzibę w Pałacu Kultury i Nauki.

7. Lwówek Śląski

Na drugi dzień po wyjeździe z Warszawy przyjechały do Jeleniej Góry. Tu także nie znalazły mieszkania i zostały skierowane do Bolesławca. Stamtąd też odprawiono je z kwitkiem i skierowano do Lwówka Śląskiego. Drogę odbyły pieszo, albowiem pociągi, jeszcze przez długi czas, nie jeździły z powodu zerwanych mostów. Kiedy w Lwóweckim Punkcie Repatriacyjnym powiedziały, że przed wojną prowadziły sklep w Warszawie, zostały chętnie przyjęte, potrzebni byli ludzie do organizacji i prowadzenia handlu. Przydzielono im w budynku przy ul. Koniewa (obecnie Orzeszkowej), dziś już nie istniejącym, na piętrze małe mieszkanko, pokój z kuchnią, a na parterze lokal sklepowy. Już 1 września 1945r, a więc w piątym dniu po wyjeździe z Warszawy, otworzyły w tym lokalu, jeden z pierwszych we Lwówku Śląskim, sklep w którym pierwszym towarem było... płótno białe i czerwone na flagi.

Wreszcie, po sześciu latach poniewierki znalazły swój nowy dom i pracę, która kochały. Mama założyła rodzinę, urodziła i wychowała troje dzieci. Z czasem kupiła samodzielny dom z dużym ogrodem. To do niego w wakacje często przyjeżdżały Grażyna i Jadzia. To tu, co najmniej dwa razy do roku, odwiedzał babcię jej brat Kazimierz i inni kuzyni z Łodzi. Zawsze mile widziani i przyjmowani. Ciocia Łodzia pozostała samotna, ciągle łudziła się nadzieją, że jej narzeczony odnajdzie się. Była to kolejna niespełniona miłość w naszej rodzinie.

We Lwówku Śląskim wszyscy moi najbliżsi pracownicy spędzili życie, a ja z braćmi szczęśliwe dzieciństwo i młodość. Do 1999r, kiedy zmarła moja mama, ten dom był ostoją naszej rodziny, miejscem spotkań we wszystkie wakacje, święta lub weekendy.

*„Dziś już obcy ludzie mieszkają w tym domu
obce stopy depczą moje liście
obce ręce zrywają moje owoce i kwiaty*

*została tęsknota za domem dzieciństwa
dziś już nie moim
za sadem pachnącym trudem ojca
dziś już nie moim"* autorka